

# Katarzyna Witwicka

---

## Skarby pamięci i tradycji - Pińsk

---

Niepodległość i Pamięć 6/1 (14), 119-124

---

1999

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Katarzyna Witwicka

## Skarby pamięci i tradycji - Pińsk

Gdy wyniesiesz z pińskiej drogi  
Z ludźmi twymi całe zioBRA,  
A z furmanką całe nogi:  
Podróż była bardzo dobra!

Wincenty Pol  
"Pieśń o ziemi naszej"

Największym z polskich województw było poleskie. Przed rozbiorami liczyło około stu tysięcy kilometrów kwadratowych, czyli prawie tyle, ile trzy Belgie razem wzięte. Po łacinie zwano ten obszar "Tractus Polesiensis". Na mocy traktatu ryskiego przy Polsce pozostała tak zwana mniejsza połowa, ale nazwę "województwo poleskie", nadaną całości w roku 1569 przez Zygmunta Augusta - zachowano. Po drugiej wojnie światowej "Jałta" odebrała Polsce prawie całą resztę Polesia, zostawiając nam jego skrawek, zwany teraz Polesiem Lubelskim.

Polesie (owo z okresu między dwiema wojnami) - to bagna, moczary, trzęsawiska, grzęzawiska, zaś wszystkie te odmiany mokości zwano tam po prostu błotami. Miejsca położone nieco wyżej, a więc suchsze, nazywały się hała. Jednak i na nich domostwa często budowano na palach, a poniektórzy flisacy chatę mieli po prostu na łożdach. Jak odcięte od świata były takie siedziby ludzkie świadczy fakt, że wszechwiedząca i wszechdocierająca - zdawałoby się - administracja carska o wielu z nich jeszcze w dziewiętnastym wieku nie wiedziała! "Tamtejsi" - jak wiadomo, Poleszycy, ci rdzenni, wywodzący się ponoć od Derewlan, nie przyznawali się do żadnej narodowości i mówili o sobie "my tutejsi" - otóż oni znali przesmyki między błotami lub po prostu czekali na ostrą zimę i do większych skupisk - na przykład, po zakupy - przedostawali się po zamrożonej bagiennej powierzchni.

Z ostrej zimy roku 1627 skorzystali Tatarzy. Wtargnęli na Polesie, "spustoszenie roznosili", dotarli pod wały obronne Pińska. (Nazwa miasta wywodzi się podobno od łacińskiego słowa "pinus", które między innymi, znaczy "sosna", bo jakoby z tych okolic Rzymianie sprowadzali sosnowe pnie na okrętowe maszty). "Powetował tej napaści książę Ostrogski, rozgromiwszy niedaleko Pińska najeźdźcze hordy".

Do melioracji Polesia pierwsza zabrała się królowa Bona, która w 1523 dostała od męża Pińsk z zamkiem i wieloma okolicznymi dworami. Można powiedzieć - prezent zaiste królewski.

Dobra pamięć o Bonie przetrwała na Pińszczyźnie długo. Z jej polecenia kopano tam rowy (czyli kanały), a jeden z nich, długości sześciu wiorst (to znaczy około dziewięciu kilometrów) ciągnął się od Pińska do Stetyczów. Niewykluczone, że do owego "kopania rowów" skłoniła królowę przygoda, w której jej karoca - razem z

nią! - omal nie utonęła w błocie... Wszakże szczególnie upamiętniła się Bona Prużanie, zmieniając ją z osady w miasteczko. Zaś Anna Jagiellonka, córka Bony, nadała miastu w roku 1588 herb, będący herbem Sforza. Aż do drugiej wojny światowej, bądź co bądź przeszło trzysta pięćdziesiąt lat, herb ten służył Prużanie jako pieczęć miejska.

Pina, nad którą powstał Pińsk, ma około osiemdziesięciu siedmiu kilometrów długości i jest pod tym względem czwartą rzeką Polesia. Prócz statków parowych pływały po niej: bajdaki, barki, duszehubki, łyżwy, obijaniki, półbarki, szuhaleje...

Piątego maja 1706 r. zjawił się w Pińsku król szwedzki, Karol XII. Był to epizod jego wojny z Moskwą, zwanej wojną północną, którą zresztą przegrał. Na razie, zaledwie zsiadłszy z konia, wbiegł na dzwonnice kościoła jezuickiego, by przyrzeć się otaczającej miasto "dziwnej okolicy". "A spostrzegłszy nieścignione okiem błota i wody, zawołał: otóż to moje non plus ultra!" Kazał reperować mosty i inne przeprawy, ale gdy po dziesięciu dniach nic z tego nie wychodziło - o północy, chykiem, konno i tylko w towarzystwie księcia Wirtemberskiego - z Pińska wyjechał.

Kilkadziesiąt lat później, w roku 1784, zawitał do Pińska - drogą wodną, na ozdobnych łodziach i z liczną świtą - Stanisław August. Z okien apartamentu, jaki mu w swym kolegium przygotowali ojcowie jezuici, przyglądał się król okolicznej szlachcie, która tłumnie, na przeróżnego rodzaju pływającej lokomocji, przybyła, by go powitać. Zapewne ani on, ani oni nie przypuszczali, że to właśnie pożegnanie ostatniego polskiego monarchy.

Stanisława Augusta gościł też Mateusz Butrymowicz. W pozostałym po nim i istniejącym aż do wybuchu drugiej wojny archiwum, znajdował się plan dworu, jaki zamierzał wybudować, w jednym ze swych majątków, na cześć żony nazywanym Krystynopolem. Na tym planie Stanisław August własnoręcznie napisał życzenia szczęścia. Niestety, na dłuższą metę życzenia nie spełniły się: dwór i majątek przeszły po powstaniu styczniowym w ręce rosyjskie.

Mateusz Butrymowicz nie był rodowitym Poleszukiem, ale w Polesiu zakochał się i wżenił w nie. W przenośni i dosłownie, bo jego żoną była, urodzona w Pińsku, panna Szymianka. Butrymowicz działał dla Polesia wiele. Między innymi z jego pomocą powstał słynny kanał imienia księcia Ogińskiego. Ale za ukoronowanie przed-rozbiorowej działalności Butrymowicza uważa się wybudowanie grobli łączącej "głęb Pińszczyzny z Pińskiem". Ukończono ją w roku 1783, a w następnym, z okazji bytności króla, dokonano uroczystego jej poświęcenia, co uświetniono okazałą fetą.

Butrymowicz, zgębiony rozbiorami Polski, nadal mieszkał w Pińsku. Zmarł w roku 1814. Jego potomkowie mieszkali tam jeszcze w latach trzydziestych naszego wieku i była w Pińsku ulica jego imienia.

Z klasztorem i kościołem ojców jezuitów w Pińsku wiąże się zabawna bajeczka. Zakon ten sprowadzony został do Pińska w 1631 r., zaś książę Albert Stanisław Radziwiłł wznosił mu wspaniałe, murowane, trzypiętrowe kolegium oraz kościółek. Pewnego dnia, w trakcie budowy, robotnik osunął się i zaczął spadać. Rozległy się krzyki o ratunek. A właśnie przechodził tamtędy braciszek zakonny, laik (to znaczy, nie mający jeszcze święceń), słynący z czynienia cudów. Czynił ich tak wiele, że książdz rektor w obawie, by ludziom nie spowszedniały, zakazał mu tego. Teraz więc brat odparł, iż pomoc nie może, bo mu nie wolno... (Swoją drogą, robotnik musiał spadać powoli, skoro był czas na pogawędki!) Jednak dodał:

- Czekajcie, pójde, poproszę o pozwolenie.

Gdy wymawiał słowo "czekajcie", spadający zawisł w powietrzu i czekał nieruchomo na powrót laika. Ten przybiegł co tchu z pozwoleniem i nieszczęśnika ocalił. Nie wiadomo jednak, czy - mocą cudownego działania - wyniósł go z powrotem na stanowisko pracy, czy ostrożnie osadził na ziemi...

Natrafiałam na trzy wersje w jaki sposób przestał istnieć kościół ojców jezuitów w Pińsku. Ta z nich, która wydaje mi się najbardziej prawdopodobna, mówi, że dwudziestego września 1939 r. - z wieży kościoła zaczęto strzelać do wkraczającej do miasta Armii Czerwonej. Prawdopodobnie był tam polski wojskowy punkt obserwacyjny. W odpowiedzi z dołu też poleciały pociski. Ryszard Kapuściński wspomina (miał wtedy siedem lat), że sowietci długo i uparcie, choć nie zawsze celnie - ostrzeliwali wieżę z jakiejś zdezelowanej armaty. Jeżeli tak rzeczywiście było, to może broniła się tam polska załoga? Bo do pustej wieży przecież by nie strzelano... Klęską Polaków skończyć się musiało, ale szczegółów nie podano.

Przez następne lata wojny wewnątrz kościoła powstawały pożary, aż w sierpniu roku 1953 to "wspaniałe dzieło architektury barokowej" - jak piszą o pińskim kościele jezuitów Białorusini - zostało wysadzone.

Nawiązując raz jeszcze do Piny, to odegrała ona - wraz ze swymi wodnymi połączeniami - ważką rolę w czasie wojny polsko-bolszewickiej. Po zdobyciu przez Polaków Pińska w marcu 1918 r. (potem przechodził jeszcze z rąk do rąk) korzystanie z rzek Polesia jako szlaków komunikacyjnych stało się konieczne. Brakowało do tego rzeczy podstawowych: środków przewozu rzeczno-żeglarskiego i załóg obeznanych z dorzeczem Prypeci. Wkrótce jednak zgłosił się Jan Giedroyc (były oficer wojennej marynarki rosyjskiej) i, na bazie sprzętu porzuconego przez Niemców w Pińsku, utworzył zespół motorówek dla służby transportowej i rozpoznawczej. Od rzemyczka do koniczka i już dziesięć kwietnia 1919 r. przyjęto za datę powstania Floty Pińskiej.

Przyszły dni niepowodzeń lokalnych oraz pogarszała się ogólna sytuacja wojsk polskich, bo czwartego lipca Tuchaczewski ruszył na Warszawę. To zapowiadało konieczność wycofania się Polaków z Pińska. A tu znowu - czy nadal - brakowało tego, co niezbędne: drewna opałowego i smarów. Poza tym były upały i poziom wód opadał zastraszająco. Na pewnym odcinku Piny wyłoniło się trzynaście mielizn o łącznej długości około czterech kilometrów. W Kanale Królewskim woda spadła do poziomu dwudziestu centymetrów! Sprowadzone na gwałt pługowozki nie dawały rady - statki mogły posuwać się z szybkością dziesięciu kilometrów na dobę... Część z nich spłonęła, inne zatopiono. Po wojnie niektóre udało się wydobyć i doprowadzić do stanu używalności. (W dwadzieścia lat później pewne fragmenty tej sytuacji prawie się powtórzyły. Różnica polegała na tym, że znowu niegłęboko zatopione statki wydobyli i usprawnili na swój użytek "ludzie radzieccy").

Rzecz jasna, że walki toczyły się i na lądzie. W ich trakcie wrywano sobie, nawzajem, Pińsk. W okresie tych walk zasłynął generał Stanisław Bułak-Bałachowicz. Zwano go ostatnim Kmicicem polskim, zaś najlepiej chyba charakteryzuje go opinia marszałka Józefa Piłsudskiego, wyrażona w liście do Karola Wędrzigołskiego, oficera łącznikowego z wojskami "białych" Rosjan, walczących na terenie Polski z bolszewikami. Cytuję ze skrótami: "Nie szukajcie w nim cech sztabowego generała... Jest to typowy warchoł i partyzant, lecz doskonały żołnierz... Bije bolszewików w wielu wypadkach lepiej od sztabowych generałów. ...Dajcie mu być sobą, bo innym być nie potrafi".

Wojsko generała Bałachowicza to się rozrastało, to kurczyło. Za uzbrojenie miało broń francuską, niemiecką, rosyjską, a nawet... japońską. Ludzie w nim, przedstawicie-

le wszystkich narodowości spotykanych na Polesiu, też byli rozmaici. Jedni szli walczyć z pobudek patriotycznych, inni szukali przygody lub schronienia przed wyrokami sądowymi. Generał trzymał tę zbieraninę w ryzach, występki karał surowo - do sądów polowych włącznie, ale o swoich ludzi dbał. Ponoć nawet czytywał im gazety i... opowiadał bajki. Prawdy dzisiaj się nie dociecze, jednak musiał generał mieć mir u podkomendnych, skoro nazywali go bat'ką.

Sława "niezwycięzonego" była jego forpocztą. Zdarzyło się, że z jednej z małych poleskich miejscowości na wieść o nadciągających wojskach Bałachowicza - uciekła załoga bolszewicka. Dowódca pozostawił po sobie, w oknie zajmowanej kwatery, suszące się gacie. Ano, Bohun przed Wołodyjowskim uciekał z chłopskiego chutoru w samych jeno hajdawerach...

Przyszedł rozkaz zdobycia Pińska. Jego sowiecka załoga liczyła około dwóch tysięcy żołnierzy, czterystu oficerów, poza tym stacjonował tam sztab czwartej armii bolszewickiej. W ciągu paru dni zniesiono nieprzyjacielskie oddziały osłonowe, w wagon z amunicją trafiono z armaty, co unieszkodliwiło cały pociąg pancerny. I dwudziestego szóstego września o czwartej po południu Pińsk wzięto przez zaskoczenie. Do niewoli trafił sowiecki sztab, całe dwa tysiące żołnierzy i wszyscy oficerowie. Większość sowieckich komisarzy zastrzelono na miejscu, w licznych, naprędce przez nich zorganizowanych urzędach. Bowiem bałachowcy komisarzy bolszewickich "przeważnie do niewoli nie brali".

Zdobycz materialna też była okazała. Kasy, masa materiału wojennego, magazyny z żywnością i umundurowaniem, trzy lokomotywy oraz dwieście wagonów osobowych i towarowych pełnych wszelakiego dobra przeznaczonego do wywiezienia. A trzydzieści tysięcy par wspaniałych żółtych butów i kilka tysięcy półkożuszków bardzo przydało się bałachowcom, którzy bez przerwy byli w marszach i bojach.

Ale wiadomo: na wojnie, jak na wojnie - pod Mozyrzem się nie udało, trzeba było dokonać sztuki przedostania się z powrotem w głąb kraju. I na tym odwrotowym szlaku generał Bałachowicz pokazał, co potrafi. "Znakomite wyprowadzenie (...) z matni małego oddziału jaskrawo zarysowuje jego zdolności dowodzenia" - raportował jeden z generałów.

Zdolności zdolnościami, a nie wiadomo, co by było, gdyby nie Matka Boska.

Matnia, w którą się generał ze swym oddziałem zapędził, poległa na tym, że z trzech stron były trzęsawiska, nie wytrzymał ciężaru człowieka - po polesku zwane zabunami - zaś z czwartej, którą tu weszli, teraz stali ścigający ich bolszewicy. Bitwy wydać nie można: nie pozwalał na to ani teren, ani siły oddziału. O poddaniu się też nie było mowy. Dni mijały, kończył się prowiant dla ludzi, furaz dla koni.

I oto pewnej nocy przyśniła się generałowi Matka Boska. Powiedziała - najczystsą polszczyzną i od razu per ty:

- Durniu, przecież tu jest ścieżka! - i pokazała mu ją.

Generał obudził się, kazał otrąbić pobudkę przez munsztuk, opowiedział żołnierzom swój sen i zapytał, czy zgadzają się pójść tą drogą. Innej nie było, a że bat'ce ufali, zgodzili się. A on ich wyprowadził, zaś przezwisko Dureń Matki Boskiej przyłgnęło doń i bodaj czy nie wyparło poprzednie Kmicic redivivus.

Generał Bułak Bałachowicz został w czasie okupacji zastrzelony przez Niemców przed domem, w którym mieszkał w Warszawie na Saskiej Kępie. Wtedy krążyła wersja, że ostrzeliwał się z jakichś ruin, ostatnią kulę zostawiając dla siebie. Legendy nie porzucają tych, których raz otoczą.

W tak skrótowym tekście nie sposób opisywać tego, co działo się na całym Polesiu i w samym Pińsku w czasie drugiej wojny światowej. Konspiracja i partyzantka kwitły tam "na całego", dokonywano - w większości udanych - bohaterkich i na pozór niemożliwych czynów. Jak na przykład, brawurowe uwolnienie z pińskiego więzienia Mariana Przysieckiego, czy setek innych, przeróżnych akcji dywersyjnych. Niezwykle opłacanych życiem, a nieraz i męczeństwem.

I jeszcze fragment pięknego opisu Pińska z roku 1787:

"Położenie miasta, jak jest najpomyślniejsze, tak i na widok najpiękniejsze; gdyż z jednej strony rozległe pól płaszczyny na kilka mil ciągnące się, a z drugiej, z wężła rozmaitych rzek wylew tworząc na kształt morza, sprawuje najprzyjemniejszy miasta prospekt. Prócz tej szczęśliwości, którą sama zdarzyła natura, taki jest dowóz i taniość płodów z Wołynia i Polesia, jak trudno w innym miejscu i mieście, prócz Ukrainy, znaleźć. (...) Spodziewać się należy polepszenia wkrótce losów Pińska, stojąc bowiem na gościńcu, w środku zbiegu i połączenia kanałami rzek portowych, które handel przychodowy z Bałtykiem na Czarne Morze tworząc, koniecznie musi czynić marynarzom przystanowisko. Już tu przybywają różne statki, jak to: bajdalki i wielkie szuhaleje z Czarnobyli i Kijowa, naładowane mydłem, zbożem, łojem i innymi towarami (...)"

Dziś brzmi to jak epitafium.

Żeby jednak nie kończyć tego wieczoru takim smutkiem i żalem, przytoczę jedno z moich własnych wspomnień z krótkiego pobytu w Pińsku, w roku 1932. Byłam tam z matką, u wuja, świeżo upieczonego wdowca po siostrze mego ojca. Odziedziczył po niej, między innymi, dwa psy. Suka Czola (nie wiem, jakiej rasy) była tłusta i ociężała, a bokser Ful... O nim można by napisać spory rozdział, ale tu opowiem tylko jedną z jego niezwykłych, lecz prawdziwych przygód.

Pewnego razu wybiegł - jak zwykle rano - z domu i nie było go przeszło dwa dni. Zachodząco w głowę, co się mogło stać. Służące wuja (miał ich dwie) chodziły po całym mieście (jak się okazało - nie po całym...) i wypytywały, czy ktoś nie widział Fula, kiedy i gdzie widziano go ostatnio... W domu mówiło się tylko o nim, wszyscy byli podenerwowani, a wuj podwójnie, ponieważ denerwował się, że się denerwuje. Nie brano w ogóle pod uwagę, by ktoś z miejscowych mógł psa skrzywdzić, bo Ful był popularny, lubiany, no i należał do wiceprezesa Sądu Okręgowego w Pińsku. (Niekiedy, zwłaszcza Żydzi, zwracając się do wuja, mówili: "Proszę wysokiego pana sędziego", myśląc go z "Wysokim Sądem"). Krzywda wyrządzona Fulowi wydałaby się, a chyba nikt nie chciałby znaleźć się w skórze winowajcy. Drugiego dnia nieobecności Fula wuj uruchomił policję, a trzeciego dnia po południu jakiś żołnierz (w Pińsku stacjonował osiemdziesiąty czwarty pułk Strzelców Poleskich) przyprowadził Fula na smyczy.

Ful szedł przy nodze żołnierza, z łbem spuszczoneym, prawie wtulonym między łapy, które przestawiał z trudem. Wuj wyszedł na ganek i zaczął żołnierza wypytywać.

Z jego nieśmiałyłch dukań okazało się, że Ful często wpadał do koszar i był tam mile widziany. Nie wiedziano, jak się nazywa, więc nadano mu jakieś imię, na które reagował. A przedwczoraj, jak przybiegł, to była akurat jakaś uroczystość pułkowa...

- Tak żołnierze z serca ucieszyli się i zatrzymali go jako honorowego gościa. Głodu tak on na pewno nie miał, nawet wódką my go potraktowali... Był okrutnie wesoły i wcale wracać mu nie chciało się. Tak my go i nie wyganiali, gdzież honorowego gościa przeganiać...

- I co dalej? - zapytał wuj, zupełnie osłupiały.

- My nietutejsi - mówił żołnierz - tak my nie znali, czyj to pies, gdzie go odprowadzić i czekali, sam poleciał albo ktoś się zgłosił. No i dzisiaj rano policjant przyszedł i powiedział...

Wuj dał żołnierzowi tak zwane parę groszy za odprowadzenie psa, żołnierz odpiął smycz, na pożegnanie poklepał Fula. Ale ten się nie ruszył.

- Na miejsce! - krzyknął wuj i tupnął nogą.

Ful przemknął koło niego i zniknął w mieszkaniu. Żołnierz jednak nie odchodził.

- Czego jeszcze? - zapytał wuj niecierpliwie.

- Ja by prosił - zaczął żołnierz - to znaczy w imieniu całego pułku, mnie koledzy prosili, żeby ja poprosił - plątał się onieśmielony - żeby tego psa nie karać, tak on nic nie winien...

Wuj machnął ręką i wszedł do pokoju. A Ful, zwinięty w ciasny kłębek, spał już na swym postaniu, głębokim snem skacowanego hulaki.